

Stanisław Koźmian: Bezkarność

Dozwalając bezkarności rozszerzać się w naszym społeczeństwie, grubą i niebezpieczną rozpoczynamy grę, w której nas łotry i szulerzy ograją. Nauki, srogie nauki przeszłości nakazują nam wystrzegać się bezkarności, tym więcej, gdy nowoczesna grozi rozsądzeniem tego, co stanowi treść naszego bytu – pisał Stanisław Koźmian.

Rozmowa o naszej przeszłości z przyjacielem i znakomitym historykiem dziejów ojczystych, ks. Walerianem Kalinką¹, zbyt odpowiadała wewnętrznemu naszemu usposobieniu, jakiemuś uczuciu nie umiającemu znaleźć na zewnątrz wyrazu, przecież trapiącemu ducha, aby mogła pozostać bez następstw. Stała się owym czymś, które tak często w życiu nadaje kształt tłoczącym się uczuciom, słowem uporządkowała myśli o nowej chorobie dzisiejszego ustroju społecznego, którą dwa określają wyrazy – nowoczesna bezkarność.

*Strasznie, bezprzykładnie w
historii upadło to państwo, upadł
ten naród, który przecież tysiąc
lat o własnych stał siłach, nie bez
chwały i względnej wielkości*

Wiemy z dziejów
naszych, jak stopniowo
bezkarność
powiększała się i
wzmagala z upadkiem
narodu, z upadkiem
państwa i ze
zbliżaniem się

ostatecznej katastrofy. Była ona oznaką, objawem upadku, była zwiastunem

zawalenia się gmachu i widocznym dla nie zaślepionych dowodem, „że jest coś chorobliwego w Danii”. I w samej rzeczy do tego stopnia doprowadzona, rozwielniająca się zuchwale wobec sumienia publicznego, tak iż stała się nie wyjątkiem, ale zwykłym stanem społeczeństwa, była ona już zarazem przyczyną i skutkiem osłabienia ogólnego, rozprężenia wszelkich węzłów, rozstroju i zgnilizny, po których nastąpił, bo nastąpić musiał, rozkład czy też jak go dzieje nazwały rozbiór. Strasznie, bezprzykładnie w historii upadło to państwo, upadł ten naród, który przecież tysiąc lat o własnych stał siłach, nie bez chwały i względnej wielkości; upadł nie dla braku przymiotów i cnót, których mu najzaciętsi wrogowie nie zaprzeczają, lecz wskutek zbytniego rozwielnienia się w nim zabójczych wad, więcej jeszcze wskutek miękkiego z nimi obchodzenia się, niedostatecznej walki, zbyt słabego przeciw złemu oddziaływania, a między tymi wadami główną bezsprzecznie była bezkarność, której bodaj czy nie bezpośrednim następstwem był nie tylko straszny, ale pod wielu względami sromotny koniec.

Niewprawny budowniczy oglądając stary gmach niełatwo rozpozna czy pewny i bezpieczny; umiejętny i wytrawny, wypowie pod tym względem stanowcze zdanie, a to dlatego, że pierwszy nie potrafi rozróżnić porysowań murów, drugi umie odgadnąć doniosłość każdego z nich. Są porysowania bez znaczenia i ważności, które nie zatrwożą wprawnego oka umiejętnego budowniczego, są to bowiem po prostu porysowania ścian, nieuniknione następstwa czasu, dające się łatwo naprawić, są inne przecież, które zwrócą jego uwagę, zastanowią go i w końcu nakażą mu odsądzić budynek od dalszego użytku; grożą one bowiem zawaleniem, bo sięgają aż do podwalin, których osłabienie ich jedyną przyczyną.

Któż z myślących ludzi, patrząc na dzisiejszy gmach społeczny, który pomimo ciągłych gorączkowych napraw i zbytkownych upiększeń wciąż trzeszczy i co chwila to z tej, to z owej strony grozi głowom mieszkańców, nie starał się

zbadać jego rzetelnego bezpieczeństwa i rzeczywistej trwałości, nie starał się dociec czy i o ile ozdoby jego nie ukrywają zawalenia? Wielką sztuką w tym badaniu jest właśnie rozróżnienie zewnętrznych, bez doniosłości porysowań od tych, które od podwalin pochodzą, a jeżeli nie godzi się ani też jest uczciwym i użytecznym straszyć mieszkańców fałszywymi wróżbami, to z drugiej strony zbrodnią jest nie przestrzec ich o porysowaniach świadczących, że podwaliny zgniłe lub że się rozpadają.

*Któż z myślących ludzi, patrząc
na dzisiejszy gmach społeczny,
nie starał się zbadać jego
rzetelnego bezpieczeństwa i
rzeczywistej trwałości, nie starał
się dociec czy i o ile ozdoby jego
nie ukrywają zawalenia?*

Wprawne i zdrowe oko
wśród wszystkich
świecideł, którymi
otoczono dzisiejszy
ustrój, dostrzeże
niewątpliwie
osłabienia, opadnięcia,
zgnilizny, dostrzeże
porysowania sięgające
aż do podwalin, a

każde wprawne i zdrowe ucho, wśród gwaru przechwałek i szabasów uwielbień świata współczesnego dla siebie samego, dosłyszy pewne szmery i odgłosy świadczące o obsuwaniu się murów. Między tymi oznakami, coraz wyraźniej odrysowuje się na murach gmachu bezkarność, która zaiste nie jest nieznaczącym i bez doniosłości porysowaniem ścian, lecz szczeliną idącą od fundamentów do szczytu. Bezkarność, ta sama, aczkolwiek, jak to okażemy niżej, niebezpieczniejsza, obrzydliwsza i gorszego nierównie pochodzenia, która była zapowiedzią upadku Polski, coraz bezczelniej rozwiela się i zdobywa sobie przeważne miejsce już nie w jednym narodzie, ale w całym ustroju społecznym żyjącym dzisiejszą cywilizacją, pod wpływem górujących wyobrażeń, przekonań i obłędów, słowem pod wpływem współczesnej wolnomyślności, wszechpotężnej, bezwzględnej, despotycznej maszyny tyraństwa. Władcy ta dzisiejszych wyobrażeń i przekonań ludzkich wśród

upojenia wszechwładzy nie powinna by odwracać lub zamykać oczu na *mane, tekel, fares* odrysowujące się coraz wyraźniej na ścianach jej od złota kapiących gmachów, tym więcej – a może przemówić to do jej bezwyznaniowych i bezprzesądnych pojęć – że nie są to ani przepowiednie, ani kabalistyczne znaki, lecz objawy dające się rozumem zmierzyć, dające się poniekąd podciągnąć pod matematyczną rachubę, a świadczące, że budowli grozi niebezpieczeństwo. Jedną z takich oznak jest nieraz zdumiewająca nowoczesna bezkarność. Wszechwładni dzisiejsi, ci, którzy przewodniczą i podlegają zarazem wolnomyślności, którzy wyzyskiwani przez nią usiłują ją, o ile się da, wyzyskać i tą grą ciągłą są chwilowymi panami świata, ci wszyscy nareszcie, którzy rozkoszują się w dzisiejszych wyobrażeniach i którzy palą przed nimi jakby przed bożyszczami kadzidła, a którzy z takim upodobaniem naigrywają się bezustannie z Polski i jej przeszłości, niech spojrzą na jej upadek, na Polskę upadłą, której nie oszczędzają kopnięcia osła, i niech się zastanowią nad jej historią już nie z nienawiścią do niej, ale ze zwrotem do dzisiejszego ogólnego stanu społeczeństwa; niech rozważą bezkarność w jej dziejach, a przekonają się może wtedy, że wkradająca się w ich bezwyznaniowo-wolnomyślne społeczeństwo nie jest czym innym, jak złowrogą dla nich i ich dzieła zapowiedzią; im większy stopień bezkarności, tym pewniejszy, tym prędszy koniec tego porządku rzeczy, który duma i pycha ludzka mniemają być coraz doskonalszym i silniejszym. Jeżeli bezkarność w jednym narodzie była oznaką jego upadku, o ileż w łonie ogólnego ustroju jest ona sroższego zamętu i straszniejszych zwrotów zapowiedzią! Jak porysowanie murów jest skutkiem innego złego, które tkwi w podwalinach, tak samo dzisiejsza rysa społeczna bezkarności ma swoją głębszą przyczynę.

Jednym z głównych znamion świata dzisiejszego jest coraz większe, niemal już dziś zupełne pomieszanie pojęć. Od chwili jak nie tylko, że powstało, ale wolny a poniekąd zwycięski ma bieg zdanie, że społeczeństwo obejść się może bez religii, pomieszanie to było nieuniknione, osiągnąć ono musiało wszystkich kierunków życia, tym samym i sprawiedliwości na ziemi; ludzie

puszczeni samopas, bez wiary i obawy wyższych, nadprzyrodzonych czynników, pozostawieni sami sobie, bez przewodnika, bez nici Ariadny, w wielkim labiryncie świata duchowego, błąkają się w nim i we wszystkich jego zakątkach błędzą. Jedyłą podstawą duchową w naszym świecie była zasada chrześcijańska, wiemy ile dołożono usiłowań, jak wciąż jeszcze zawzięcie pracuje się nad jej usunięciem, a im to dzieło dalej postępowało i postępuje, tym większy musiał powstać zamęt w wyobrazeniach i przekonaniach; tym większy, że nie zastąpiono ani też nawet pomyślano o zastąpieniu niezbędnej, bo jedynej podstawy, inną, nową, lepszą. Kierunek ten, niszczący jedyną podstawę duchową świata bez troski i zamiaru skądkolwiek zastąpienia jej inną, jest najwyższym a jedynym w dziejach wyrazem zniszczenia. Działanie tej niweczącej dążności sprowadzić musiało chaos w dziedzinie duchowej, jakby go podobnie silny, niszczący kierunek w dziedzinie materii tam sprowadził i temu to powstałemu już chaosowi przypisać należy nie tylko pomieszanie wyobrażeń o słuszności, ale także zachwianie się samej sprawiedliwości w jej najwyższej czynności – w wymiarze kary. Trudno zaiste wymierzać karę, gdy się nie ma jasnego i pewnego pojęcia o karygodności, gdy się jest zachwianym w przekonaniu o tym, co karygodne, gdy się nie ma zdrowego, niezmaconego wyobrażenia o odpowiedzialności człowieka już nie tylko wobec społeczeństwa, ale przede wszystkim wobec wyższego prawa duchowego. Inaczej zaś być nie może od chwili jak ludzkość stała się sama sędzią nadprzyrodzonych praw i pozbyła się wszelkiego wyższego prawidła życia, tak niezbędne dla podpory jej wrodzonej słabości i niemocy. Wszystko na tym świecie dziwnie się z sobą wiąże i spaja, a od chwili jak rozpowszechniło się przekonanie, że społeczeństwo ludzkie istnieć może bez pomocy wyższych czynników, to jest bez jakiegokolwiek nadprzyrodzonej religii, szerzy się też nieznacznie, powoli, ale niemniej wyraźnie jakieś chorobliwe poczucie, że obejść się ono może bez sprawiedliwości i bez kary, a tak bezwyznaniowość i bezkarność są rodzonymi siostrami i obsługują je ci sami kapłani. Bezwyznaniowe prawodawstwo doprowadzić musi ostatecznie albo do prawnego mordu, albo do bezkarności. I zważmy, że jeżeli w jednym kierunku przeważające dziś wyobrażenia bezwyznaniowo-wolnomyślne,

pozbawiając społeczeństwo i człowieczeństwo wszelkiej religii, doprowadzają zniszczeniem człowieczeństwa aż do zwierzęcości, to z drugiej strony do tego samego dochodzą następstwa wprowadzając bezkarność, która także jest znamiem zwierzęcości, zwierzęta bowiem żyją bez sprawiedliwości i kary, pozbawione w jestestwie swym ograniczonym wynikającego stąd bezpieczeństwa dlatego, że im ich dać nie może wyższa duchowa siła.

*Nim jednak dojdzie się do kresu,
postępuje się drogą
zezwierżenia zwykle
nieznacznie, niepostrzeżenie,
bezwiednie, lecz zawsze i
niezmiennie, wkracza się na nią
tam, gdzie niknie sprzed oczu
społeczeństwa drogowskaz
duchowy, wiara i religia*

Przecież pomimo
przewrotności,
kłamstwa, upadków i
upodleń człowiek, jak
w sobie samym ma
uczucie
zachowawczości,
ochraniające go przed
niebezpieczeństwami,
tak samo posiada w
sobie coś, co go broni
przed ostatecznym
zezwierżeniem; to

coś jest stokroć większe i silniejsze w zbiorowym człowieczeństwie, które się zwie społeczeństwem; ile razy ludzkość zbliża się do granic zwierzęcości, tyle razy skutek owego czegoś tkwiącego w niej samej, a które jest po prostu wstrętem przed zbydłęcieniem, odskok jej jest gwałtowny; zbaczając bezwiednie, jak w dzisiejszym dziejowym okresie, z drogi człowieczeństwa kroczy jakiś czas szlakiem prowadzącym do zezwierżenia, aż dojdzie do ostatecznego kresu, do granicy, od której cofa się z przerażeniem; to cofnięcie się w tył jest przyrodzonym, nieuniknionym przeciwdziałaniem. Podobny przykład mieliśmy po zwierzęcych wypadkach pierwszej wielkiej rewolucji francuskiej. Nim jednak dojdzie się do kresu, postępuje się drogą zezwierżenia zwykle nieznacznie, niepostrzeżenie, bezwiednie, lecz zawsze

i niezmiennie, wkracza się na nią tam, gdzie niknie przed oczu społeczeństwa drogowskaz duchowy, wiara i religia. Tak się stało w starym świecie, gdy poganizm stracił swą moc, tak się stało przed rewolucją francuską, kiedy filozofia ośmieszyła dogmatyczną wiarę. Istota człowiecza jednak i w owych chwilach nie przestaje być ludzką, naginanie bowiem nie jest przeistoczeniem, pozbawiona podstawy duchowej, do której nawykła szuka jakiegokolwiek i gdziekolwiek, całkiem bez niej obejść się nie może i albo wtedy odszukuje jej u źródła wszelkiej prawdy, to jest w Bogu, jak się to stało przy upadku Rzymu, albo w chwilach, w których odwraca się od Boga a Bóg od niej odnajduje ją w sobie samej, jak przed rewolucją francuską, kiedy religię zastąpiło ubóstwienie rozumu; w pierwszych wypadkach ludzkość wkracza na wielki gościniec swoich przeznaczeń, w drugim zmierza nieco tylko dalszą drogą do owego kresu, do którego wcześniej czy później dochodzi, a u którego przedstawiający się jej obraz zwierzęcości tak ją przeraża, że się w tył cofa.

Przy powtórnym szturmie przypuszczonym obecnie na zasadę chrześcijańską, dotąd tak pomyślnie prowadzonym, acz jeszcze nie zwycięskim, dostrzec możemy objawy podobne, potwierdzające nasze rozumowanie. Ludzkość w znacznej już części pozbawiona wiary zdrowej, silnej w dziedzinie świata duchowego, pozbawiona religii płynącej od Boga, zachwiana jednym słowem w swoich przekonaniach chrześcijańskich, doprowadzona do wiary w kłamstwo, społeczeństwa bez religii nadprzyrodzonej, a więc bardziej niż kiedykolwiek pchnięta na drogę prowadzącą do zwierzęcości, z wrodzonego popędu gorączkowo chwyta się przecież jakichś pojęć wyższych, źle określonych, zbałamuconych i zmaconych, jak zbałamuconymi i zmaconymi są jej wyobrażenia, lecz dzielących ją choćby na chwilę od królestwa zwierząt, i tak sama, lecz rada by z biedy w nią wierzyć, jakąś, jeżeli już nie boską, to ludzką religię. I oto zamiast prawdziwych pojęć wyższych i duchowych, zamiast odwiecznego stosunku człowieka do Boga, a z niego dopiero wynikającego stosunku człowieka do ludzi, wytwarzają się chorobliwe, źle określone, śmieszne i zgubne, przecież nie pozbawione smętności i tęsknoty za

czymś wyższym, wyobrażenia humanitarne i filantropijne, które tak przeważny, tak złowrogi i tak stanowczy wywierają wpływ na sprawę, którą się zajmujemy, że je nazwać możemy chrzestnymi rodzicami bezwyznaniowej bezkarności.

Zastąpienie religii boskiej religią ludzką musi zawsze pociągać za sobą nieuniknione następstwa, a bliżej nierównie od religii ludzkiej do zezwierżenia, jak od religii boskiej do ludzkiej! Stan wytworzony potrzebą chwilową a wrodzoną religii ludzkiej, jest to stan wyjątkowy, chorobliwy, chorobliwymi też zawsze muszą być wszystkie jego objawy. Już pod koniec wieku osiemnastego przytępiony zmysł religijny i duchowy, tak dobrze w rządach, jak w ludach, zagłuszył zasadę, że kara jest odpokutowaniem występku i wywołał przesadną nad winowajcą litość, wobec której nie ma litości ani nad ofiarą, ani nad społeczeństwem. Dziś zaś na skutek wpływów humanitaryzmu i filantropii zamiast uczucia sprawiedliwości opartego na zasadzie moralnej wyrodziła się uczuciowość nerwowa, pewna czułośćkowość i miękkość ochrzczona nazwą ludzkości! Karę za winy zastąpiła wyrozumiałość dla ułomności ludzkich, która z wolna przeistaczać się poczyną we współczucie dla winowajcy, a zamiast wielkiej i silnej zasady przebaczenia i łaski zapanowało gorszące pobłażanie, które niczym innym nie jest, jak tylko uświęceniem na tej ziemi występku.

Chorobliwy ten wpływ chorobliwych uczuć i przekonań jest bezpośrednim następstwem podkopania i zepsucia podwalin społecznych; ogarnia on powoli, łagodnie, ale niemniej podstępnie, coraz wyraźniej, dziedzinę sprawiedliwości społecznej, a rozliczne tych uczuć i przekonań korzenie wybują w przerażający swoją potwornością kwiat bezkarności. Zgubne, fałszywe, mylne pojęcia, których początek wskazaliśmy, wsiąkają we wszystkie części ciała społecznego i zaraziły już samą siedzibę sprawiedliwości. Z postępem i pod wpływem niszczących prądów w dzisiejszej Europie, zaraza bezkarności

*Stan wytworzony potrzebą
chwilową a wrodzoną religii
ludzkiej, jest to stan wyjątkowy,
chorobliwy, chorobliwymi też
zawsze muszą być wszystkie jego
objawy*

rozszerza się coraz
dalej, a jak dawniej
rozprzegła ona i
wywróciła nasz ustrój
polityczny, tak dziś
szarpie i rozluźnia
węzły społeczeństwa.
Sprawiedliwość
bowiem, będąc
przedstawianą i

wykonywaną przez ludzi, nie może ochronić się przed ogólnym wpływem
górujących wyobrażeń i one czynią ją coraz więcej pobłażliwą, humanitarną,
filantropijną; ostatecznie ani karzącą, ani karcącą. Doczekaliśmy się tego, że
we wszystkich kierunkach swej działalności, sprawiedliwość przemienia się z
wolna w zakład dobroczynny dla złoczyńców.

Jakże przerażająco bałamuącym jest zawsze wpływ wyobrażeń, których
początek nie w prawdzie! Owe humanitarne i filantropijne popędy, które
zastąpić nadal mają wszelką wiarę i religię, powstały jedynie z uwielbienia
ludzkości, owego człowieczego bóstwa stworzonego wycieńczoną wyobraźnią
racjonalizmu; a przecież w swym biegu dochodzą one do następstw i
wyników, które niczym innym nie są, jak tylko zamachem na ową ludzkość. W
wymiarze sprawiedliwości i kary doprowadzają one do osłaniania i
oszczędzania złoczyńcy i zbrodniarza, do ochraniania ich, a tym samym nie
tylko, że krzywdzą ofiary, ale poniekąd wyznaczają nagrodę za nowe zbrodnie
i bezprawia, mnożą je tym samym, a tak powstałe w imieniu ludzkości zadają
same sobie kłam sromotny, bo oszczędzają jednostki ze szkodą i narażeniem
bezpieczeństwa ogółu, owej ludzkości – Boga!

I tak się też dzieje. Rozstrojona i obalamucona społeczność dzisiejsza wysiła się we wszystkich kierunkach, aby złoczyńcę ochraniać i skutki zbrodni jego uczynić mu jak najmniej przykrymi. Nie tylko w prawodawstwie, w całej działalności sprawiedliwości widoczną, wyraźną jest ta dążność, począwszy od filantropijnych urządzeń więzień aż do narzucającego się wszędzie obcesowo społeczeństwu zniesienia kary śmierci. Te względy rozliczne, ta pobłażliwość czułościowa, ta nieroztropna wspaniałomyślność dla złoczyńców, ta troska o ich wygody zarówno jak o bezpieczeństwo ich gardeł, to bezkarność prawna, uznana, uchwalona przez sejmy, to już na dzisiejszym społeczeństwie zdobyty niejako przez złoczyńców przywilej; a tak wskutek dziwnej, lecz słusznej sprawiedliwości, owej wyższej od rzeczy ludzkich, wiek, który zniósł wszystkie i wszystkich przywileje stworzył je jedynie dla złoczyńców. Gorsza jednak i bardziej przerażająca bezkarność innego gatunku i treści świta już na widnokręgu dzisiejszego ustroju. Mamy tu na myśli dążność w samym wymiarze sprawiedliwości uniewinnienia, lub przynajmniej oszczędzenia, już nie oskarżonego, ale winnego, dążność ułagodzenia i doprowadzenia do minimum kary. Kierunek ten sprawiedliwości coraz wyraźniejszy, bo wpływ na nią wyobrażeń filantropijnych, wpływ powietrza przesyconego humanitaryzmem coraz większy; nie tylko w urzędzeniach i w prawodawstwie czuć się on daje, ale w samym wymiarze sprawiedliwości, w zastosowaniu, a zawsze i nieodmiennie działa on na korzyść przestępcy i uczy tłumaczyć na dobre tak występki, jak jego przyczyny i powody ze szkodą społeczeństwa. Pod wpływem owych wyobrażeń sędziowie jakimikolwiek są, drżą coraz więcej przed odpowiedzialnością, dlatego że nie mają o co ją oprzeć, że brak im potężnej podpory duchowej, a owo: nie chcę brać na moje sumienie, tak zwykłym jest obecnie dlatego właśnie, że sumienia coraz mniej w świecie, że zastępuje je czułościowa a sfalszowana filantropia. I zważmy dobrze, że nie jest to wcale szlachetna i łatwa do zrozumienia obawa ukarania niewinnego, którą sędzia zawsze winien być przejęty; nie, to obawa zbyt srogiego, zbyt nieludzkiego obejścia się z przestępcą, ze złoczyńcą, ze

zbrodniarzem, którego wina została uznana, dowiedziona, do której nawet sam się przyznał. Ludzie duchowo tak zmaleli, że nie czują w sobie ani mocy, ani powagi, ani powołania, ani namaszczenia do karania. Nie tylko nie śmia uderzyć, ale nawet brak im siły do podniesienia ręki dla wymiaru sprawiedliwości. To wahanie się w wymiarze kary, nie wobec wątpliwości, lecz wobec dowiedzionego, uznanego czynu, pozostanie jednym z najbardziej znamienych rysów czasu, a droga fałszu tak jest pochyła, że nieznacznie, lecz nie mniej znacząco, wahanie to zamieniać się poczyna w jakieś współczucie dla przestępcy, którego inaczej pojąć ani wytłumaczyć sobie nie można, jak tylko tajemnym pociągiem pokrewnych dusz lub czymś w rodzaju pokrewieństwa z wyboru. Czyżby już świat miał dojść do tego, iżby wszelkie wyłamanie się spod prawa, choćby pięścią lub siekierą, choćby wytrychem lub wytrychowym sumieniem, miało znaleźć współczucie w tylu pokrewnych duszach, żeby aż zabrakło surowych sędziów? W nieuniknionym następstwie, niewątpliwie, dla zbyt wielkiej ilości przestępców nie byłoby sędziów.

Do czegoż to publiczne naigrywanie się ze sprawiedliwości przez sprawiedliwość samą doprowadzić może, jeżeli nie do zabicia jej w samej istocie i treści, a więc do zastąpienia jej obroną osobistą i doraźnym wymiarem kary, czyli powrotem do stanu dzikości lub do zwierzęcości. Sprawiedliwość weszła na drogę prowadzącą do samobójstwa. Srogie pomiatanie prawem, którego byliśmy i jesteśmy świadkami, dosięgło samej siedziby prawa i sprawiedliwości, a zasada i poczucie prawa poniewierane i zgnębione w wielkich sprawach tego świata zamierają i gasną w ognisku, bo w piersi sędziego.

Jeżeli dawniej oskarżano pochopnie sądy i sędziów o zbytnią surowość i srogość kar, przypisując je potężnym wpływom lub stronnictwość, to zaiste dziś zawsze i nieodmiennie posądzić by ich można i to z większą może słusnością o pobłażanie, o względy, o jakieś skryte dla zbrodniarzy i

przestępców niewytłumaczone współczucie, posądzić by ich można o uległość i schlebianie wyższym i potężnym wpływom, tylko że nie w wymiarze kar, ale raczej w zawieszeniu miecza sprawiedliwości i o schlebianie tym i uleganie wszechpotężnym wyobrażeniom czasu, zarazem o obawę tak dziś strasznej niepopularności.

Dzisiejsza tak zwana opinia publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinionego, ale winnego, nie tylko winnego, ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary

W prostym następstwie współczesnej plagi bezkarności dojść musi do tego, że zbrodnia się rozwieli, zyska niejako prawo obywatelstwa, zbrodniarze mnożyć się będą, a w końcu

zabraknie kata. Będzie to ostatnim wyrazem siły niszczącej, która jak tkwi w wielu wyobrażeniach dzisiejszych, tak samo znajduje się w łonie bezkarności. Bezkarności w samej sprawiedliwości towarzyszy inna, ściśle z nią złączona, jeszcze może groźniejsza, jeszcze wyraźniej zwiastująca niebezpieczeństwo, bezsilność duchową i rozstrój, bezkarność ze strony opinii publicznej; ona to oddziałuje tak zgubnie, tak haniebnie na wymiar sprawiedliwości. Dzisiejsza tak zwana opinia publiczna staje niezmiennie po stronie nie tylko obwinionego, ale winnego, nie tylko winnego, ale skazanego, nie tylko skazanego, ale i unikającego kary; ona go otacza swymi skrzydłami opiekuńczymi i w imieniu wolnomyślności i filantropii zdaje się wołać do sędziów: nie karzcie, jeżeli nie chcecie być potępionymi. W każdym niemal procesie głośniejszym znika wnet z widowni pokrzywdzony, a głównym bohaterem, który skupia całe współczucie widzów, staje się krzywdziciel. A tam i w tym, gdzie zwykła sprawiedliwość osiągnąć nie może, lecz gdzie opinia publiczna ma moc karcenia i karania, czyż widzimy wymiar sprawiedliwości!? Zaniechano go i nie ma już ludzi, którym by nie podawano

ręki, nie dlatego zaiste, aby nie było takich, którym by ręki podać nie należało, ale dlatego, że nie ma takich, którzy by jej nie podawali. Obydwie te bezkarności schodzą się w jednym skutku, w jednej myśli, raczej bezmyśli, bo ich początek, ich przyczyna ta sama, brak podstaw duchowych, obydwie podają sobie ręce, aby powoli zatrzeć różnicę między winowajcą a niewinnym, między zbrodniarzem a cnotliwym, między złoczyńcą a uczciwym człowiekiem i sprowadzić w życiu ten sam zamęt, który już istnieje w wyobrazeniach i pojęciach, a którego ostatnim demokratycznym wyrazem będzie równość wobec sprawiedliwości tych, którzy ją gwałcą z tymi, którzy ją szanują. Lecz i tu, jak zwykle, równość będzie złudną, bo niewątpliwie zbrodniarze będą mieli nad niewinnymi wielką wyższość i przewagę i w końcu utworzą zbyt potężną kastę, najwstrętniejszą oligarchię. A zaprawdę, jak w słynnej powiastce Voltaire zebrał w Wenecji grono zrzuconych królów i książąt, tak samo dziś już można by zgromadzić u jednego stołu liczny zastęp głośnych, na wolnej stopie żyjących przestępców i zbrodniarzy. Nie dziś tylko, ale zawsze zbrodnia i występki nieraz unikały kary i swobodnie żyły na świecie, lecz dawniej dla braku dowodów, dla zbiegu okoliczności, na skutek szczęścia czy zręczności, nigdy jak obecnie na skutek i pod zasłoną wyobrażeń i pojęć przeważających, z dobrodziejstwa filantropii, nigdy jeśli były przekonane, dowiedzione lub same się wyznaniem stwierdzały; i właśnie bezsilność, niemoc czy też łagodność sprawiedliwości dla dowiedzionej, udowodnionej, wyznanej zbrodni lub przestępstwa stanowią treść i odrębne znamię dzisiejszej bezkarności, jest to bezkarność prawna, jak prawnymi są wszystkie bezprawia obecnych czasów. Nie jest to, jak dawniej, oszukaniem lub uniknięciem sprawiedliwości, lecz przeciwnie, sama sprawiedliwość potępia a nie karze lub wymierza pozorną karę pozbawioną siły karcenia. Bezkarność, tak dalece jest w powietrzu, w usposobieniu ogółu, że najczęściej nawet tam, gdzie sprawiedliwość zdobywa się na karę, zwykle znów jakiś dziwny zbieg okoliczności wstrzymuje lub przeszkadza jej wykonaniu; nie tylko sędziowie, ale i strażnicy więzień pomagają bezkarności. Ucieczki z

więzień, ich ułatwienia stają się coraz częstsze i coraz zaszczytniejsze, a osłonięte są także bezkarnością; niemoc sprawiedliwości coraz widoczniejsza we wszystkich kierunkach. [...]

I w jakich to czasach, wśród jakich górujących i panujących wyobrażeń szerzy się i rozwiela bezkarność? Oto wtedy, kiedy materializm góruje, kiedy walka o byt jedyną zasadą, a jedynym bożyszczem zysk. Jeżeli przestępstwo, a nawet zbrodnia zawsze i wszędzie będą na skutek bezkarności mniej lub więcej zyskownymi, któż się przed nimi dziś cofnie? A z drugiej strony, w nieuniknionym następstwie, cnota i poszanowanie prawa staną się największymi, najniedorzeczniejszymi stratami; o ile wartość tamtych pójdzie w górę, o tyle tych spadnie. Któż nie cofnie się dziś z przerażeniem przed dowiedzioną z góry stratą? Kto? Mała gromadka uczciwych dla uczciwości, którzy zaiste niepokieszne zajmą stanowiska zawsze oszukanych i wyśmianych. Bezkarność, będąc podwójną ze strony sprawiedliwości i ze strony społeczeństwa, ze strony sędziów i ze strony opinii publicznej, wartość nieuczciwości pędzona jest do góry, gdy przeciwnie uczciwości ulega chronicznemu spadkowi. Sprawa kryminalna, sam kryminał, złodziejstwo, oszukaństwo, kradzież, nie mówiąc już o szacherce, tym najwykwitniejszym przestępstwie, nie odcinają dziś bynajmniej sprawcy od społeczeństwa, znajduje on w nim współczujące dusze i dostateczne pobłażanie, aby pod jego zasłoną żyć pogodnie. Co więcej, ileż to razy niezaszczytna chwilowa i przypadkowa przeszłość nie przeszkadza wcale kierować później opinią publiczną, nauczać społeczeństwo, obrzucać błotem uczciwych ludzi i słuszne sprawy. Jeżeli przestępstwo, jeżeli zbrodnia nawet staną się w dzisiejszych czasach, wśród dzisiejszych wyobrażeń, zyskowne, nie wątpić zaiste pod karą śmiesznej dobroduszości, że się mnożyć i rozszerzać będą w nieskończoność. Nie inaczej już tłumaczoną bywa bezkarność przez łaknące zysków warstwy, a słowa fryzjera powiedziane z powodu wyroku w głośnej w Galicji sprawie, winny swoją szczerością baczną na siebie zwrócić uwagę, „za połowę tych pieniędzy, rzekł on, chętnie bym siedział dwa razy tyle”. Otóż i gotowy zysk.

Tak więc bezkarność, schodząc się z przeważającymi wyobrażeniami, apetytami, żądzami, bożyszczami, stanowi wspólnie z nimi nieobrachowaną siłę niszczącą, tym skuteczniej działającą, że przedmiot, w który uderza nie znosi jej pocisków i najprędzej pod nimi runie. Świat dzisiejszy, przeważnie materialny, przeważnie oparty nie na myśli, lecz na zysku, wymaga i potrzebuje dla swego bezpieczeństwa i istnienia kredytu, zaufania, opieki, a któż bardziej, a któż więcej zdolny je zniszczyć, zachwiać, zniweczyć, jeżeli nie bezkarność? A gdzież ona bardziej grasuje obecnie, jeżeli nie w świecie zysków i w uroczej krainie szacherki, nie przystępnej ani dla karcenia, ani dla kary? Im bliżej więc przypatrujemy się uwielbianemu kierunkowi dzisiejszemu, tym wyraźniej dostrzegamy, że sam w sobie i przeciw sobie, w głównych swych wyobrażeniach i dążeniach nosi żywioły i narzędzia zniszczenia, tym lepiej widzimy i rozpoznajemy porysowania, których przyczyna w podwalinach. I zaiste niemała to pociecha, niemałe zadowolenie, nawet wyznajmy przyjemność, a wielka nadzieja, dla wszystkich, którzy nie zaślepieni jego ułudnym blaskiem, nie dali się zaprząć do jego zwycięskiego rydwanu; dla wszystkich tych wreszcie, którzy nie są zwycięzcami, lecz zwyciężonymi chwili obecnej.

Zważmy dalej, o ile tu działanie i przeciwdziałanie są silne. Jeżeli z jednej strony bezkarność jest skutkiem i następstwem pomieszania wyobrażeń i pojęć o prawie i słuszności, to z drugiej strony ona znowu nadzwyczaj dzielnie dopomaga do dalszego i coraz większego zamętu. Nic może w tak wysokim stopniu nie mąci wyobrażeń, jak wpływ bezkarności i zawsze jest ona źle i musi być na źle tłumaczona, bo będąc pobłażaniem a nie łaską, nie przebaczeniem, niszczy dobry i drogocenny wpływ ich tak dalece, iż rzec można, że bezkarność zabija przebaczenie i łaskę, czyniąc z wyjątku regułę.

*U dołu jest jeszcze poczucie
odpowiedzialności, które dlatego,
że u góry zaciera się coraz
więcej, mącą się i bałamuca w
tak zgubny sposób prawdziwe
pojęcia obciążających lub
zwalniających okoliczności*

Wedle przeważających
dziś wyobrażeń, co
gorsza, wedle
szerzącego się
zwyczaju, czego
niejeden mieliśmy
przykład, dziwna i
zgubna wyrabia się
nauka o
okolicznościach

zwalniających, która w wysokim stopniu pogarsza bezkarność. Przeszłość zaszczytna człowieka, jego wykształcenie, wpływ który wywierał, zaufanie które wzbudzał, stanowisko jego poprzednie, są to zwykle dziś nie obciążające, lecz zwalniające okoliczności, a przecież im stanowisko było wyższe, tym upadek jest większy, im wpływ był znamienitszy, tym odpowiedzialność jest większa, tym samym bezkarność zgubniejsza; tak jest, bo im wyżej się ona wznosi, tym głębiej dosięgają jej skutki w społeczeństwie, a przykład złego u góry jest mniej szkodliwy i niebezpieczny, jak przykład bezkarności. Wykształcony, prawy, duchowo wyższy, wzbudzający zaufanie człowiek popełnia zbrodnię, odpowiedzialność jego za nią jest tym samym niezaprzeczenie większa, jak tych, którzy niżej od niego stoją duchowo, osłaniająca go więc bezkarność jest szkodliwsza i prosta, zdrowa logika ludowa wybornie to rozumie i rozumuje; słyszeliśmy, jak wobec podobnego przykładu posługacz, wysłany z małą kwotą pieniężną na pocztę z przestrożą, aby ją oddał, a nie zniknął z nią, odpowiedział żartobliwie, przecież z głębszą myślą: „Jeżeli za tysiące skazano uczonego pana na rok, to przecież mnie za kilkanaście reńskich nic by nie było”. U dołu jest jeszcze poczucie odpowiedzialności, które dlatego, że u góry zaciera się coraz więcej, mącą się i bałamuca w tak zgubny sposób prawdziwe pojęcia obciążających lub zwalniających okoliczności. I zaprawdę, zastanawiając się nad dzisiejszym

stanem rzeczy, nieraz ma się jakby przecucie nowej wieży Babel, około której nastąpi ostateczne i zupełne pomieszanie już nie języków, ale wyobrażeń, z którego dopiero powstanie nowy porządek duchowy, jak z chaosu powstał świat materialny.

Dziwne, zdumiewające są niekiedy objawy dzisiejszej, nowożytnej bezkarności; o ile zniechęca pokrzywdzonych do sprawiedliwości, do poszukiwania jej lub odwoływania się od niej, o ile budzi w nich zwątpienie coraz większe o wymiarze sprawiedliwości, o tyle z drugiej strony napelnia przestępców i zbrodniarzy nieograniczonym do niej zaufaniem. Rozczulające jest dzisiejsze zaufanie przestępców do sędziów, rozczulające są coraz częstsze oddawania się w ręce sprawiedliwości i szczerze, otwarte, odważne wyznania winy. Nikt i nic nie budzi większego zaufania w winowajcy jak sprawiedliwość! Dawniej przestępca, zbrodniarz krył się, uciekał, szukał schronienia w nieprzystępnych miejscach w lasach i górach, między dzikimi zwierzętami, przepływał ocean i uciekał do Ameryki; dziś przeciwnie, zbrodniarz czuje się niejako bezpiecznym i nie ma nic pilniejszego do zrobienia, jak oddać się w ręce sprawiedliwości, jak zapisać się do więzienia, jak szukać schronienia, prawnej opieki tam, gdzie dawniej czekała go sroga lub straszna kara. I czyż nie widoczny to, dla nieuprzedzonych, zdrowo się patrzących, dowód, zwiększenia się, potężnienia bezkarności!? Stokroć wart był więcej ów zbrodniarz, który czuł ciężar swej winy, który jej wyznać nie śmiał, który drżał, ukrywał się przed sprawiedliwością, od tego, który swobodnie wyznaje winę i opowiada ją sądowi jako zdarzenie życia, którego następstwa uporządkować, uprawnić, złagodzić, jest rzeczą tego sądu, w którego objęciach chroni się z całym zaufaniem; w tamtym był jeszcze wstyd zbrodni i jej groza, w tym jest bezwstyd występku. O tak, stokroć lepsza ucieczka do Ameryki, krycie się po lasach i górach, jak na pozór odważne, a oparte na dobrze wyrachowanej i ugruntowanej nadziei bezkarności, oddanie się w ręce sprawiedliwości. W każdym razie ucieczki i krycie się zbrodniarzy nierównie lepiej świadczyły o stanie społeczeństwa i o sprawiedliwości sądów,

jak dzisiejsze wyznania i oddawania się. Darmo, sąd to nie konfesjonał, przed którym by zbrodniarz nawet miał odwagę wyznać spełniony czyn. I rzeczywiście, owa łatwość przyznawania się do zbrodni, owa pochopność do oddawania się w ręce sprawiedliwości, to po prostu bezwstyd zbrodni, jak wobec owych wyznań mniejsza lub większa pobłażliwość sądów jest tylko bezwstydem bezkarności. Zbrodniarze i przestępcy szukają bezpieczeństwa i schronienia na łonie samej sprawiedliwości, bo ono przepełnione współczuciem i pobłażaniem dla nich. Zamiast grozy i przerażenia, które w winowajcach wzbudzała sprawiedliwość, widzimy teraz między nimi a jej trybunałem jakieś poufałości, pewną zalotność i zamianę oznak dziwnego, niepojętego pociągu. Owa chęć okłamania sprawiedliwości, [...] stała się zbyt uczynna i niepotrzebna, bo szczere i otwarte wyznanie winy jest najkorzystniejszym wybiegiem.

I kiedy wszystko to dzieje się i rozkrzewia pod godłem ludzkości, to zaprawdę mniemać by można, że ludzie i bogowie tej cywilizacji i tego świata, w którym do tego stopnia skrzywione są wyobrażenia, już szaleją. Ileż to bowiem ofiar pociąga za sobą pobłażanie dla jednego zbrodniarza, a ileż ubywa bezpieczeństwa dla ludzkości, w imieniu której wstrzymuje się ręka sprawiedliwości w wymiarze kary. Daremne usiłowania! Wasza bezkarności nie oszczędzi ani jednej ofiary, nie ujmie jednej klęski, mnożyć tylko będzie i pierwsze i drugie i już zagraża drugimi karami, nowymi przewrotami ludzkości, w imieniu której chcecie ją wznieść do wysokości zasady. W okresie dziejowym, w którym więcej jak kiedykolwiek wojna tysiące pochłonęła i w danym razie pochłonęłaby ofiar, kiedy niezliczone narzędzia postępu, dziennie znaczną liczbę ludzkich istot poświęcają na jego ołtarzu, wyboicie się przez ludzkość ściąć głowę zbrodniarza lub zawiesić na nim kajdany! Sofiści w teorii i sofiści w zastosowaniu nie jesteście nawet litościwymi, ale po prostu miękkimi, rozstrojonymi, bezsilnymi duchowo i we wszystkich niemal kierunkach przerażająco niedorzecznymi!

*Wobec, jeżeli nie już na skutek,
bezkarności mnożą się z każdym
dniem samobójstwa i zaprawdę
trudno nie odczuwać jakiegoś
związku mistycznego, a może
nawet filozoficznego między
samobójstwami a bezkarnością*

I cóż pomoże
zawieszenie w imieniu
waszych nauk i
filantropijnych
czułości miecza
sprawiedliwości, skoro
statystyka – a ją
przecież szanujecie –
nie wykaże przez to
mniej wypadków

śmierci niezwykłej i ani jednej kropli krwi oszczędzonej. Znosicie karę śmierci na zbrodniarzy lub unosicie się względem nich wspaniałomyślnością, a okrutni jesteście dla pokrzywdzonych, oto patrzcie: potrzeba kary jest tak konieczną, tak mądrą, tak niezbędną, tak nieodłączną od istoty ludzkiej i układu tego świata, że ludzie, gdy jej zabraknie przez innych, sami ją sobie wymierzają, że sami na sobie wykonują karę śmierci poza waszymi naukami, poza waszymi sofizmatami i poza waszymi plecami. Wobec, jeżeli nie już na skutek, bezkarności mnożą się z każdym dniem samobójstwa i zaprawdę trudno nie odczuwać jakiegoś związku mistycznego, a może nawet filozoficznego między samobójstwami a bezkarnością. Niewątpliwie są one często, zbyt często w tych czasach, jakby bezwiedną tęsknotą za słuszną karą, wygnaną z tej ziemi, są objawem silnego uczucia ludzkości, potrzeby kary i zaiste nic wymowniej nie potępia bezkarności, jak doraźne wymierzanie kary przez człowieka na samym sobie. Smutny, przerażający objaw czasów i pojęć, ale ściśle związany z całym przewrotem duchowym, którego jesteśmy świadkami, a w którym tak ważne miejsce zaczyna zajmować bezkarność. Gdzie ustają działać prawa przyrodzone i rządzić ludźmi, tam występują objawy przeciwne przyrodzie, a wobec bezkarności coraz częstsze staje się samobójstwo, które zwykle jest tylko samogwałtem kary.

I nie ludźmy się, nowoczesna bezkarność nie jest bynajmniej złem chwilowym, przemijającym, przypadkowym, nie ustanie ona ani tak prędko, ani tak łatwo, bo jest następstwem ogólnych wyobrażeń, prądów, otaczającego powietrza; dalej i dalej dokonywać będzie w swoim kierunku niszczącego zadania aż wywoła, jak wszelkie niszczenie, przeciwdziałanie. Nie jest ona ani przypadkowa, ani chwilowa, bo jest następstwem szeregu wyższych przyczyn, nie jest porysowaniem ściany, ale jest rysą mającą swój początek w podkopaniu i osłabieniu fundamentów. Usuwające się, wyjęte z podwalin społecznych cegły chrześcijańskie, oto przyczyny jak wielu innych, tak i tego porysowania gmachu; społeczeństwo pozbawione jedynej dziś duchowo rozumnej, poza racjonalizmem, podstawy, podstawy chrześcijańskiej, błędzi, bałamuci i bredzi, jak w wielu innych, tak i w dziedzinie sprawiedliwości. Bezkarność jest prostym następstwem coraz gwałtowniejszego wyrugowania nauki chrześcijańskiej przez wyobrażenia chwilowe i to do tego stopnia jest prawdziwym, iż w znacznej części, w niezliczonych wypadkach, przypisać ją jedynie należy zacieraniu się przekonania, przed innymi chrześcijańskiego, o wolnej woli człowieka, tym samym o jego odpowiedzialności; gdzie nie ma wolnej woli, tam winy być nie może, tam kara jest niesprawiedliwością; zaprzeczenie tym samym wolnej woli, czyli usunięcie podstawy chrześcijańskiej, bardzo słusznie pociąga za sobą bezkarność. Liczne zaiste przytoczyć byśmy mogli przykłady pobłażania i bezkarności, wynikające jedynie z zaprzeczenia wolnej woli człowieka, liczniejsze niewątpliwie są przypadki popełnionych zbrodni na skutek zaparcia się jej. [...]

Rzecz godna uwagi, że w czasach, w których tak się wzmogło wyobrażenie o potędze państwa rozszerza się bezkarność, że w czasach, w których polityka nic nie straciła ze swej bezwzględności, sprawiedliwość staje się względniejsza, łagodnieje i słabnie. A przecież, jeżeli bezwzględność w polityce konieczna jest dla bezpieczeństwa państwa, to tym konieczniejsza jest bezwzględność sprawiedliwości. Nie możemy inaczej nazwać bezkarności, jak

tylko zamachem na społeczeństwo, bo już bez względu na wszelkie duchowe wyobrażenia i prawa widoczną jest rzeczą, że wymiar sprawiedliwości, że jej następstwo, kara, jest niezbędna dla bezpieczeństwa społeczeństw; bezkarność więc, która się wyległa pod wpływem przeważających dziś wyobrażeń, jest zamachem społeczeństwa na siebie, jest dalszym dziełem zniszczenia.

*Ks. Bismarck, który ręką
olbrzyma popchnął skarłowaciałe
plemię w niejednym niszczącym
kierunku, jasno zapatrywał się
przecież na chorobę bezkarności
i piętnował ją wyrazami
zdradzającymi wyższy umysł*

Prawda to tak jasna,
tak przejmująca, że
każdy wyższy umysł,
choćby najwięcej i
najsilniej idący z
prądem nowoczesnym
dostrzega ją.
Wybornym,
znakomitym do
współczesnej

bezkarności objaśnieniem pozostanie mowa ks. Bismarcka² przy rozprawach o zniesieniu kary śmierci. Człowiek ten, który ręką olbrzyma popchnął skarłowaciałe plemię w niejednym niszczącym kierunku, jasno zapatrywał się przecież na chorobę bezkarności i piętnował ją wyrazami zdradzającymi wyższy umysł. Dostrzegł on – to jego słowa – że w całym usposobieniu tych, którzy przemawiają za zniesieniem kary śmierci, przeważa chorobliwa troska otoczenia większą opieką przestępcy niżli ofiary. A dalej dodał: „owa obawa odpowiedzialności, gdy idzie o skazanie na śmierć bliźniego, jest chorobą naszych czasów wciąż grasującą, która dosięga szczytów społecznej hierarchii; niemniej jednak słusznie i logicznie inaczej nazwać jej nie mogę, jak tylko niezdrową czułościowością obecnej epoki”. Widział więc ten przenikliwy umysł jasno wszystkie strony tej sprawy, dostrzegł, że skłonnością wieku było osłanianie przestępcy ze szkodą ofiary, że łagodność była tylko obawą odpowiedzialności i zapewne niepopularności, i że pobbłażanie było tylko chorobliwą, zmysłową czułościowością, nie zaś siłą duchową lub cnotą; lecz

czego może ks. Bismarck nie domyślał się, oto że nowoczesna bezkarność ma głębszą przyczynę i że nie jest czym innym, jak tylko w znacznej mierze następstwem pomiatania i pogwałceniem zasady prawa w wielkiej dziedzinie spraw ludzkich, że wypowiedziane czy nie, lecz wykonywane słowa „siła przed prawem” musiały doprowadzić w dziedzinie sprawiedliwości społecznej do bezkarności, bo związek rzeczy ludzkich i ich na siebie oddziaływanie nie jest i nie może być pozbawione kary, bo w tej dziedzinie nie panuje ani na chwilę bezkarność, a zabicie uczucia prawa w świecie siłą pomieszało, zniweczyło lub osłabiło działanie prawa we wszystkich kierunkach. A tak zbyt często widzieć można jasno, a przecież działać na korzyść ciemności, nawet podkopywać własne dzieło, bo zaiste żadne, choćby najpotężniejsze państwo nie obejdzie się bez sprawiedliwości i wymiaru kary, a bezkarność grozić mu będzie zawsze upadkiem podobnym do upadku Polski.

Siła przed prawem i bezkarność rodzone to siostrzyce, które cokolwiek by czyniono aby je rozłączyć, podadzą sobie zawsze ręce, bo jak mówi indyjski filozof: „Niech tylko niedołączny monarcha, przestanie karać, a skończy się na tym, że silniejszy usmaży słabszego”. [...]

Szczególnym zbiegiem okoliczności, który może należy przypisać wyjątkowemu uzdolnieniu Galicji do gromadzenia w sobie wielu niedorzeczności i wielu niedołęstw, bezkarność rozkwitająca w niej jest tworem potrójnej bezkarności; składa się na nią dawna bezkarność polska tkwiąca w usposobieniu narodowym, nowoczesna humanitarno-wolnomyślna, będąca naleciałością z zewnątrz, a którą jak każdą naleciałość mamy niezwykle dar przyswajania sobie i nareszcie, nieco od tej dawniejsza, pokrewna jej, dobrze nam znana bezkarność biurokratyczno-austriacka, uzbrojona formalnościami i przewlekłościami.

Miła będzie przyszłość, jeżeli do wszystkich wad i niedorzeczności bujających na ziemi galicyjskiej przyłączy się chwast potrójnej bezkarności i rozpleni się swobodnie; przyjemnych wtedy chwil doczekamy się, a przyjemniejsze jeszcze zgotujemy przyszłemu pokoleniu i wtedy historia – jeżeli w ogóle historia nami trudnić się będzie – powie niewątpliwie, żeśmy niczego nie zaniechali, aby utworzyć tu najnieznośniejszy, a zarazem najnierozumniejszy stan rzeczy.

Na dobrze uprawionym gruncie bezkarności staropolskiej, podlanym jadem biurokratycznym, namacalnie i najwyraźniej a bardzo dotkliwie rozkwita u nas bezkarność nowoczesna, ochraniana i pielęgnowana starannie przez wyobrażenia i pojęcia humanitarno-filantropijne. Do czego nas doprowadziła nasza dawna staropolska bezkarność, wiemy i zapewne dziś nie mamy najmniejszej wątpliwości o jej zgubnych skutkach; jaką nam przyszłość zdolna zgotować nowoczesna, o tym nie mamy i mieć nie możemy dokładnego pojęcia, tak, jak nigdy nie ma się jasnego wyobrażenia nicości.

Wielkie, bo też i ważne zachodzą różnice między staropolską, pocziwą a głupią bezkarnością a nowoczesną bezczelną, opartą na fałszu, a tak głęboko w swych ostatecznych celach demoniczną, wprowadzoną do nas z zagranicy i przepłaconą przez nas z drugiej ręki, jak zwykle przepłacamy kosztem resztek bytu wszystko, co tylko zagranica raczy nam nadesłać.

Dziwną była polska bezkarność, nie było w jej pochodzeniu ani trochę demonizmu, ani trochę złości, było tylko wiele dobroduszości, niedołęstwa, miękkości, nieporadności i bezładu szlacheckiego, nie była skutkiem ani nauk fałszywych, ani skrzywienia pojęć lub zmysłu uczciwości; była ona przeciwnie niejako samorodną, pochodziła wprost z usposobienia narodowego,

Nasza złota wolność i nasza szlachecka równość, jak w polityce doprowadziły nas do niesłuchanych niedorzeczności, tak samo w dziedzinie sprawiedliwości doprowadzić musiały do najwyższej – bezkarności

a bodaj czy głównym jej źródłem nie był brak zdania, którym zawsze odznaczaliśmy się. Nasza złota wolność i nasza szlachecka równość, jak w polityce doprowadziły nas do niesłuchanych niedorzeczności, tak samo w dziedzinie sprawiedliwości

doprowadzić musiały do najwyższej – bezkarności; nasza też bezkarność była wyłącznie szlachecką, a jak tyle innych zgubnych obyczajów i zwyczajów, była powolnym, bezwiednym samobójstwem szlacheckiego świata, lecz nie miała znamion morderstwa względem innych, wyrządzaliśmy sami sobie, nie innym krzywdę. Nigdy i nigdzie nie usiłowaliśmy i nie staraliśmy się dogmatyzować jej, wznosić do wysokości zasady lub wzniosłej nauki, stała się ona u nas zwyczajem, który, jak mówi Figaro³, tak często jest nadużyciem, była obyczajem, nad którym dla miłego spokoju i świętej zgody nie zastanawiano się i który nie oburzał zbyt mocno, lecz w gruncie, w zakątku sumienia wiedziano dobrze, że była ona niesłuszną i złą, aczkolwiek nie domyślano się, że była zgubnym błędem. Co najwięcej bezkarność pochodziła w tym społeczeństwie na wskroś chrześcijańskim może z mylnego pojęcia, raczej z pomieszania wyobrażeń o przebaczeniu i pobłażaniu. Jeżeli w naszej bezkarności było coś bezładnego i niedołęznego, to zarazem było coś serdecznego, było bądź co bądź coś nie tylko szlacheckiego, ale i szlachetnego. Towarzyszyła jej miękkość i słabość w polityce, która także z wielką szkodą sprawy publicznej nigdy nie umiała być ani bezwzględna, ani karzącą; jak w polityce, tak i w sprawiedliwości brak było u nas zawsze zakończenia, nie umieliśmy korzystać ze zwycięstw ani też wymierzać kary za

zbrodnie i przestępstwa. Szkodziliśmy sami sobie i jak powoli niedołęstwo w polityce, tak samo bezkarność w dziedzinie sprawiedliwości doprowadziły nas do upadku, do utraty bytu samoistnego.

Inną, innej treści i pochodzenia jest bezkarność nowoczesna, towarzysząca jak tyle innych potworów zwycięskiemu pochodowi wolnomyślności. Jest ona płodem skrzywienia zmysłu uczciwości, ma w sobie coś szatańskiego i niszczącego, ma tę siłę rozkładową, która dosięga szpiku kości społeczeństwa, nie pochodzi z usposobienia lub istoty tego lub owego narodu, lecz jest wpływem dzisiejszych ogólnych pojęć, stawia się zuchwale jako nauka, jako zasada i narzuca się ze zdradziecką obłudą jako nowy niszczący żywioł pod zasłoną miłości, szlachetności, ludzkości. Właśnie to wyrozumowanie dzisiejszej bezkarność, to stawianie jej jako zasady pełnej szlachetności i wzniosłości, stanowi jej niebezpieczeństwo, jej zgubność, jej nierównie większą szkodliwość od staropolskiej; widoczne tu jest bowiem dążenie do zatarcia różnicy między złem a dobrem, tym samym wytepienia w korzeniu pojęcia duchowego i religijnego. Kiedy polska bezkarność w miejscu prawa stawiała słabość, nowoczesna w miejscu prawa stawia siłę, tam była słabość przed prawem, tu jest siła przed prawem. Bezkarność też nowoczesna nie rozbija już tylko politycznego ustroju, lecz podstawy społeczne, ład duchowy i chrześcijański, zacierając pojęcie sprawiedliwości; w gruncie nie tyle w niej jest miłości i litości dla winowajcy, jak nienawiści i złości do samego społeczeństwa i do istniejącego porządku rzeczy, tak w dziedzinie duchowej, jak społecznej; jak wielce tym samym niebezpieczna jest dla nas nietrudno dostrzec, grozi ona ostatkom naszego bytu, bo tak dobrze ustrojowi społecznemu, jak podstawie chrześcijańskiej; ma w sobie, jak wszystkie płody wolnomyślności, dziwną moc rozsadzania nas, a jeżeli staropolska doprowadziła nas do utraty bytu samoistnego, to niewątpliwie nowoczesna najdzielniej przyczynić się może do zguby narodowego. Z wszystkich darów wolnomyślności ten jest jednym z najniebezpieczniejszych, najzdradliwszych już dla tego samego, że łącząc się z wrodzoną do bezkarność historyczną

skłonnością naszą i z tak długo przeciw nam stosowaną w Galicji bezkarnością przez rząd biurokratyczny, wytwarza potrójny a potworny chwast, którego zatrutą wonią niepodobna nam bezkarnie dla naszego zdrowia oddychać.

*Biurokracja przysposobiła nas
także do nowoczesnej
bezkarności, tylko że jej
bezkarność była jedną z
najgorszych, najohydniejszych,
najpotworniejszych, bo była
stronniczą i jednostronną, a
przecież okrywającą się już
płaszczem ludzkości*

Wpływ nie całkiem
jeszcze wygasły
dawnych rządów
biurokratycznych, jest
tu także widoczny.
Pierwszym
niewątpliwie
apostołem dzisiejszego
liberalizmu u nas była
biurokracja austriacka;
rzecz godna
zastanowienia, że tyle
doznawszy złego od

niej, tyle przecież od niej przyjęliśmy. Krzewicielem wszystkich zgubnych, fałszywych i skrzywionych wyobrażeń był w Galicji zastęp urzędniczy. Zgłębiając stan umysłów w Galicji, zastanawiając się nad usposobieniem tego kraju, wszędzie i zawsze dostrzec można złowrogi wpływ biurokracji; poskrobać Galicję, a doskrobać się można wyobrażeń, narowów, nałogów i naleciałości przyniesionych przez biurokrację austriacką, i jest to może najgłówniejsza przyczyna zjałowienia galicyjskiego gruntu. Biurokracja przysposobiła nas także do nowoczesnej bezkarności, tylko że jej bezkarność była jedną z najgorszych, najohydniejszych, najpotworniejszych, bo była stronniczą i jednostronną, a przecież okrywającą się już płaszczem ludzkości; jak w całym działaniu biurokracji, tak i w bezkarności przez nią zaprowadzonej tkwiła nienawiść do wszystkiego co wyższe, nie tylko do wszystkiego co szlacheckie, ale także do wszystkiego co szlachetne, i była ona zemstą, uprawnionym socjalizmem. Przez długie lata sprawiedliwość w

Galicji była bronią w rękę kasty biurokratycznej, aż nareszcie bezkarność znalazła swój ostatni a srogi wyraz w strasznych, a na wieki pamiętnych zbrodniczych wypadkach 1846 roku, osłoniętych przed karą, niestety zbyt wysoką powagą. Wtedy nie tylko, że zbrodni nie karano, wynagradzano ją. [...]

W ogólnym układzie świata i spraw ludzkich nie należy brać w rachubę, kto karę wymierza, to tylko pewne, że bez niej obejść się nie można, że przyjść musi i spełnić swoje posłannictwo, a zaiste nietrudno, nawet bez mistycznych porywów, dostrzec ścisłego, ba, logicznego związku między naszą dawną bezkarnością i srogimi karami, którymi zostaliśmy schłostani.

Kto położy tamę szerzącej się znowu głównie w części Polski austriackiej, wszechstronnej bezkarności, kto przeszkodzi rozplenianiu się tego chwastu, pielęgnowanego z kilku naraz stron? Hart ducha publicznego lub nikt. Tak jest niewątpliwie, bo prądy czasu są silne, a my jesteśmy zbyt słabi i skrepowani, aby się im oprzeć, jeżeli nie zdołamy wydobyć z siebie samych siły, która by posłużyła za tamę szerzącemu się złemu. Niestety daleko do tego! A tymczasem następstwa nieuniknione bezkarności coraz to zbliżają się do nas i coraz dotkliwiej czuć się nam dają. Nie ma w tym nic dziwnego, bo jak widzimy, są w naszym społeczeństwie dostateczne powody, aby się ona rozwieliła, gdy z drugiej strony nie ma żywiołów do skutecznej z nią walki, wszędzie też i we wszystkich stosunkach działa ona rozkładowo na resztki ustroju społecznego, na szczątki naszego ducha publicznego. [...]

U nas też bezkarność jest wszechstronna i niczym nie skrepowana, staje się zaraźliwa, z dziedziny sprawiedliwości przenosi się w inne. Używa jej dobrodziejstw niedołęstwo polityczne, które tak rozczulającą a szczególną opieką ogółu cieszy się. Można u nas bezkarnie przepędzić cały żywot w

sprawach publicznych nie zdziaławszy nic, nie zrobiwszy nic, nie odznaczywszy się niczym prócz śmieszności i niedorzeczności! Mierność, nijakość, bezbarwność są warunkami wzbudzającymi zaufanie. Wybrańcy mogą bezkarnie drzemać lata całe na ławach obrad publicznych, a powtórne, ba, niewyczerpane zaufanie wyborców zapewnia bezkarność ich nicości. Mierność i niezdarność odpowiadają widocznie najlepiej uzdolnieniu i usposobieniu ogółu; w bezpośrednim też następstwie owej bezkarności niedołęstwo i niedorzeczność rozwiłmożniły się na niwie galicyjskiej tak, że przed wszelką inną pracą twórczą trzeba by się zabrać do herkulesowego dzieła wyczyszczenia z nich publicznych stajni i obór.

*Niesłychana też jest w
następstwie zasłaniającej ją
bezkarności siła niedorzeczności
u nas i zaprawdę wobec jej
powodzeń sprawiedliwość zakryć
musi zasmucone oblicze*

Największej, bo nieograniczonej bezkarności, używa u nas głupota we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach, w polityce, w samorządzie, w gospodarczych

sprawach, w szkołach, w literaturze, szczególnie w dziennikarstwie; rozsiada się swobodnie, nawet zuchwale wszędzie i zawsze. Karać głupoty u nas nie tylko, że nikt nie chce, ale nikt nawet nie umie, „kto jest bez winy, niech rzuci na nią kamieniem” zdaje się być godłem pokolenia. Można u nas popełnić tysiące niedorzeczności, dać sobie świadectwo najpiękniej rozwiniętej nieudolności, przecież być zdolnym do wszystkiego i do wszystkiego powołanym. Niesłychana też jest w następstwie zasłaniającej ją bezkarności siła niedorzeczności u nas i zaprawdę wobec jej powodzeń sprawiedliwość zakryć musi zasmucone oblicze. W rozbujaniu swym głupota u nas staje się figlarna i zmyślna, i rzecz można, że obdarzona jest pewnym sprytem, tym przynajmniej, który zapewnia powodzenie. Szczęście daje rozum!

Nigdzie jednak nedorzeczność nie stwierdziła się tak zuchwale i nie grasowała i nie grasuje jeszcze tak bezkarnie, jak w naszym dziennikarstwie; prawdziwe to pole jej zwycięskich popisów. I przyznać trzeba, że ta bezkarność wcale nie jest stronnicza, bez różnicy zasad i przekonań stronnictw i obozów, zasłania ona nieuctwo, niedołęstwo, niezdarstwo i nudę w dziedzinie publicystyki i dziennikarstwa. Na wszystkie te zbrodnie nie ma u nas kary! Czy w publiczności brak jest zastanowienia, czy sądu, czy odwagi, czy rozumu? Nie wiemy doprawdy, ale to pewne, że nie ma kraju, w którym by ludzie dali się truć drukowanymi nedorzecznościami i pozwalali zabijać się drukowanymi nudziarstwami z taką cierpliwością i dobroduszością. Jest że i tu owa przypisywana nam potrzeba i żądza męczeństwa!? W zadawaniu tych mąk rozumowi i rozsądkowi celowało i celuje wciąż nasze dziennikarstwo postępowo-wolnomyślne. Sadzi się ono na okazy nedorzeczności i pod tym względem doszło do tego stopnia doskonałości, który już w swoim rodzaju jest znakomitością. Nie ma ono już głupstwa do wydrukowania, każde jest tylko przedrukiem.

Gdyby nie inne, to estetyczny wzgląd, że u nas w obozie zachowawczym nierównie jest przecież mniej półgłówek i drukowanych nedorzeczności, skłonić musi myślącego człowieka do sprzyjania mu lub należenia do niego. Być może jednak, że obóz ten mniej obfituje w te okazy jedynie dlatego, że jest mniej liczny, bo to pewne, że jeżeli w wolnomyślno-postępowym jest ich nierównie więcej, to w zachowawczym pojawiały się doskonalsze. Wszędzie papier jest cierpliwy, nigdzie doprawdy do tego stopnia, jak u nas. I jakżeż nie ma być cierpliwy, skoro wyrozumiałość publiczności jest bez granic, skoro bezkarność dla drukowanych nedorzeczności jest bezmierna. Jak nie ma u nas ducha publicznego, któryby karał niegodziwości i nikczemności, tak też nie ma rozumu publicznego, który by karciał wybryki i nedorzeczności. Bezkarność jest u nas następstwem braku tych dwóch najwyższych sędziów.

Gdyby bezkarność ograniczała się do niedorzeczności i nudów drukowanych, byłoby to ostatecznie rzeczą smaku i przeszlubyśmy do porządku dziennego nad galicyjskim; lecz tak nie jest, pod tymi kwiatami tak wonnymi dla Galicjan ukrywa się wąż, zmija i jadowita ropucha, a wielką, niesłychaną i niepojętą jest bezkarność dla tych potworów, dla drukowanych niegodziwości, łotrów i nikczemności, staje się ona powszechną, ogólną, gorszącą, w wysokim stopniu rozstrajającą; nie ma w naszym społeczeństwie kary na drukowane przestępstwa, nie ma jej dostatecznej w prawodawstwie, nie ma w wyrokach sądów przysięgłych. Powiedział to już Stanisław Tarnowski⁴ w rozprawie Królowa opinia, która, jak ktoś rzekł, była czynem wyjątkowym, czynem odwagi. Wykazał tam opłakaną naszą bezsilność wobec drukowanych potworności i dziennikarskich nikczemności. Zakończenie głośnej, gorszącej sprawy, między dwoma dziennikarzami Dobrzańskim i Rogoszem⁵, która natchnęła po części Tarnowskiego, stało się przykładem zuchwałej a wszechstronnej bezkarności. Krzywdzący się wzajemnie, sami sobie darowali wzajemnie winy, sądy nie dociekały ich, królowa opinia, jak to przewidział Tarnowski, przebaczyła je i rozgrzeszyła z nich. Dzienniki tych panów czytała dalej publiczność z równym jak dawniej zajęciem i wiarą, z większym zaciekawieniem, ludzie zacni zamilkli i nic się nie zmieniło w Galicji, przybyła tylko jedna galicyjska bezkarność więcej. I cóż dziwnego, że społeczeństwo, które do tego stopnia samo szanować się nie umie, ściągało na siebie coraz większe zniewagi i obelgi i że nie zdołając karać niegodnej i haniebnej publicystyki, dostawało bezkarnie policzki, bo zaproszenia na przedpłatę pism, wywieszających czelnie nazwiska, za które wypadałoby się rumienić. Zamiast oburzać się na nią, ogół zdawał się być rozmiłowany w owych zapasach i igrzyskach, a jak cesarze rzymscy dla zabawy wychowywali i kształcili gladiatorów i dzikie zwierzęta, tak Cezar nasz, publiczność galicyjska, wychowywała i kształciła dla swej rozrywki szermierzy pióra władających potwarzą, obelgą i walczących z sobą każdą inną prócz szlachetnej bronią.

*Bezkarność więc w dziedzinie
sprawiedliwości tym
bezpieczniejszą jest dla nas, że
nie ma u nas poważnej opinii
publicznej*

Nieszczęsne a gorszące
stosunki
dziennikarstwa
galicyjskiego
oddziaływały najzgubniej
na ducha publicznego i
uczyniły go
niezdolnym do

karcenia; ciągle obcowanie z nikczemnością i niedorzecznością rozstroiło ogół tym więcej, że u nas – pomimo tylu niezręcznych a dowiedzionych nadużyć dziennikarstwa – wierzą jeszcze ślepo w to, co drukowane, a chociaż tak mało czytają, czytają przecież to, co niegodziwe, a to co niegodziwe, byle drukowane, ma wiele u nas powabu i uroku. Dobroduszność do tego stopnia jest posunięta, że publicznie wyrażono zdanie, że praca dla narodu na tym polu winna zmasać „mimowolne zboczenia młodości”. Bezkarność więc w dziedzinie sprawiedliwości tym bezpieczniejszą jest dla nas, że nie ma u nas poważnej opinii publicznej. Dawniej karcenie z jej strony wynagradzało poniekąd bezkarność urzędową. Dziś i tej siły zabrakło, jak zabrakło sprawiedliwości.

Mało mając do stracenia, nie powinni byśmy się narażać na zmarnowanie resztek mienia. Dozwalając bezkarności rozszerzać się w naszym społeczeństwie, grubą i niebezpieczną rozpoczynamy grę, w której nas łotry i szulerzy ograją. Nauki, srogie nauki przeszłości nakazują nam wystrzegać się bezkarności, tym więcej, gdy nowoczesna grozi rozsądzeniem tego, co stanowi treść naszego bytu; nie zdołamy w dzisiejszych czasach stawić jej zapory, jeżeli nie wytworzymy sami w sobie silnego, pełnego hartu i męskości, uczciwego i poważnego sądu publicznego umiającego karać. To jedno jest w naszej mocy przeciw tej zarazie. Czy podołamy zadaniu? Nie mamy odwagi zwątpić.

Jak najgorsze mamy przed sobą przykłady silnych i potężnych. Poblężanie rządów dla stronnictw i sekt głoszących jawnie zamiar zburzenia społeczeństwa i wywrócenia istniejącego porządku rzeczy, jest ostatnim i najwyższym wyrazem bezkarności. Zezwalanie na szerzenie słowem i pismem, zgromadzeniami, stowarzyszeniami i pochodami nauk i działań socjalistycznych i anarchistycznych, uprawnienie w państwie antypaństwowych i antyspołecznych sekt, jest ze strony władzy i społeczeństwa samobójczą bezkarnością. Jak wszystkie niedorzeczności, tak i ta bezkarność wywoła wcześniej czy później przeciwdziałanie tym straszniejsze, im złe dłużej szaleć będzie; a niech nikt się nie dziwi, że uczciwi ludzie ochoczo podadzą mu rękę, choćby ono miało być krwawym i okrutnym, złe bowiem przebierać zaczyna miarę we wszystkich kierunkach tak, że nie widzi się ratunku, jak tylko w przeciwdziałaniu, tak dobrze w dziedzinie społecznej i politycznej, jak w dziedzinie sprawiedliwości; a u nas przed innymi w przeciwdziałaniu rozumu przeciw niedorzeczności, które oby czym prędzej nastąpiło.

Stanisław Koźmian

Tekst ukazał się pierwotnie w „Przeglądzie Polskim” w 1875 r. Niniejszy przedruk pochodzi z wyboru pism Stanisława Koźmiana *Bezkarność*, który ukazał się nakładem Ośrodka Myśli Politycznej w Bibliotece Klasyki Polskiej Myśli Politycznej.

Przypisy:

1 Walerian Kalinka (1826-86), historyk i publicysta, po ukończeniu krakowskiego Liceum Św. Anny (1840), podjął studia na Wydziale Filozoficznym UJ, następnie zaś na Wydziale Prawa, który ukończył w 1845 r. Wziął aktywny udział w powstaniu krakowskim 1846 r., blisko współpracując z jego dyktatorem, Tyssowskim. Przebieg ówczesnych wydarzeń przekonał go o destrukcyjnym wpływie radykalizmu rewolucyjnego na stosunki społeczne, czemu dał wyraz zasiadając w redakcji krakowskiego dziennika konserwatywnego „Czas”. Krytycznie odniósł się jednak do Pawła Popiela, gdy ten chciał powitać goszczącego w Krakowie cesarza Franciszka Józefa I nazbyt wiernopoddańczym, jego zdaniem (a także innego członka redakcji, Maurycego Manna) artykułem wstępnym w piśmie. Po osiedleniu się we Francji, Kalinka został współpracownikiem Hotelu Lambert, zgrupowanego wokół A. J. Czartoryskiego; wraz z Julianem Klaczką redagował w Paryżu „Wiadomości Polskie”, które uchodziły za jedno z najlepszych polskich pism XIX w. Mimo to zainteresowanie pismem było na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nikłe i wobec stałego topnienia prenumeratorów zostało ono zamknięte. W 1870 r. Kalinka przyjął święcenia kapłańskie. Ostatnie lata życia spędził w Polsce, łącząc pracę naukową z obowiązkami duszpasterskimi. Zasłynął przede wszystkim jako autor fundamentalnych prac historycznych o upadku Polski w wieku XVIII i próbach jej odrodzenia w dobie Sejmu Czteroletniego (*Sejm czteroletni*, 3 t., 1880-1888; *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, 2 t., 1868). Tworzyły one zręby ważnego nurtu historiografii polskiej, nazwanego krakowską szkołą historyczną, którego zwolennicy polemizowali z poglądami Lelewela i jego uczniów, podówczas niezwykle popularnymi, a upatrującymi przyczyn upadku Rzeczypospolitej w niekorzystnym splocie wydarzeń międzynarodowych. Kalinka, J. Szujski i M. Bobrzyński zanegowali ten pogląd, wskazując na wewnętrzne przyczyny słabnięcia Polski, prowadzące do rozbiorów i jej zniknięcia z mapy politycznej Europy. Spośród innych godnych uwagi dzieł Kalinki warto wymienić historyczną polemikę z absolutyzmem

józefińskim (*Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, 1853) i szczytowe osiągnięcie publicystyczne *Upadek Francji i przyszłość Europy*, zapowiadające złowrogie skutki zastosowania liberalnych i socjalistycznych teorii w życiu politycznym i społecznym Starego Kontynentu.

2 Otto von Bismarck – patrz przypis do fragmentów tekstu *O działaniach i dziełach Bismarcka*, zamieszczonych w niniejszym tomie.

3 Bohater dwóch komedii Beaumarchais’go *Cyrulik sewilski i Wesele Figara*.

4 Stanisław Tarnowski (1837-1917), publicysta polityczny, historyk literatury i krytyk literacki. Studiował prawo i filozofię w Krakowie i Wiedniu (1854-60). W r. 1860 był jednym z korespondentów galicyjskich tzw. Biura Polskiego powołanego przez Hôtel Lambert. W latach 1861-62, w czasie pobytu w Paryżu, pracował w Biurze Hôtelu Lambert pod kierunkiem W. Kalinki i J. Klaczki. W czasie powstania styczniowego działał m.in. w tzw. Biurze Krakowskim redakcji Czasu oraz w wydziale wojskowym tzw. Komitetu Obywatelskiego Galicji zachodniej, za co więziły go w Ołomuńcu władze austriackie (1863-64). W r. 1866 został jednym z założycieli Przeglądu Polskiego, a w trzy lata później współautorem *Teki Stańczyka* i współwłaścicielem *Czasu*, będąc zarazem jednym z przywódców grupy konserwatystów krakowskich – „stańczyków”. Od 1867 był posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego, a od 1885 – członkiem wiedeńskiej Izby Panów. W 1871 r. został mianowany profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, w rok później członkiem Akademii Umiejętności, a od r. 1890 jej prezesem. Dwukrotnie piastował godność rektora UJ (1886 i 1899). W 1909 r. ustąpił z katedry uniwersyteckiej. Autor m.in. *Pisarzy politycznych XVI wieku* (2 t., 1886, wznowionych w niniejszej serii w 2000 r.), *Z doświadczeń i rozmyślań* (1891), *Zygmunta Krasińskiego* (2

t., 1893), *Studiów politycznych* (2 t., 1895) oraz czterotomowego zbioru *Rozpraw i sprawozdań* (1895-98) i siedmiotomowej *Historii literatury polskiej* (1900-07).

5 Jan Dobrzański (1820-86), publicysta i dziennikarz, związany zrazu z radykalnym pismem lwowskim „Dziennik Mód Paryskich”, w 1848 r. jeden z głównych organizatorów radykalno-niepodległościowych komitetów we Lwowie, po powrocie z austriackich batalionów karnych w 1850 r. założył 4 lata później pismo „Nowiny”, przekształcone później w „Dziennik Literacki”, reprezentujący kierunek radykalno-demokratyczny; Dobrzański kierował „Dziennikiem” w latach 1856-65, następnie – w latach 1865-82 – był redaktorem „Gazety Narodowej”, prezentującej opcję „ultrapatriotyczną”, eksponującą ideę „nieprzerwalności spisku”, krytykowaną przez „stańczyków”. W latach 1875-81 i 1883-86 był dyrektorem teatru lwowskiego, założył szkołę dramatyczną, należał też do grona twórców Towarzystwa Pedagogicznego (1868). Józef (Atanazy) Rogosz (1844-96), pseud. Ajo, Verax, Gryzoń; dziennikarz i powieściopisarz, pochodził z rodziny szlacheckiej, uczestniczył w powstaniu styczniowym, w latach 1864-69 współpracował z „Gazetą Narodową”, 1869-71 redagował – wraz z J. Lamem – „Dziennik Polski”, a w latach 1874-76 „Tydzień”, prezentując poglądy liberalno-demokratyczne. Z czasem stał się bardziej umiarkowany, w 1893 r. założył w Krakowie „Głos Narodu”, a związawszy się ze środowiskami narodowymi jął krytykować radykalne tendencje, którym uprzednio sam hołdował. Autor głośnego cyklu felietonów *Choroby Galicji* (1876-79), piętnujących galicyjskie zacofanie i pasożytnictwo przedstawicieli wielu warstw społecznych, oraz kilku powieści historycznych, poświęconych głównie spiskom galicyjskim z lat 1846-48 (m.in. *Marzyciele* z 1881 i *Dla idei* z 1885 r.).



Dofinansowano ze środków
Funduszu Patriotycznego



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.